

DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno-literacki

Kartka z dziejów przyjaźni

(K. Ujejski i M. Pawlikowski)

Ujejski, przesyłając Pawlikowskiemu utwór swój zatytułowany „Błonia medyczne”, w załączonym liście tak pisał: „Wiersz ten Tobie poświęcam. Chciałbym aby nasze imiona łączyły się jak najczęściej i w pamięci ludzkiej zostały bliźniętami...⁽¹⁾”.

Słowa powyżej cytowane zupełnie wyraźnie określają serdeczną i szczerą przyjaźń, jaka się zadzierżgnęła między Pawlikowskim a znacznie starszym od niego Ujejskim.

Pawlikowski, już jako młody chłopiec, rozczytywał się w poezjach Ujejskiego, a niektóre z nich umiał prawie na pamięć. Od r. 1848 dość często spotkać można w papierach Mieczysława Pawlikowskiego, nazwisko Ujejskiego⁽²⁾.

Z Ujejskim zetknął się Pawlikowski osobiście w okresie swoich uniwersyteckich studiów, a od roku 1857 wzajemna przyjaźń łączy obu pisarzy. Ujejski cenil bardzo Pawlikowskiego i dawał temu wyraz niejednokrotnie w swych listach, jak np. w liście do Ludwika Wolskiego:....

„...Pojmujesz więc, że pomimo gorącego pragnienia widzenia się z Pawlikowskim na inną szczególnie i swobodniejszą chwilę odwiekam tę wielką dla mnie przyjemność, bo chcę jak gastronom z całą swobodą ducha zasiąść do tej uczty, którą on mi swoją bytnością zastawił...⁽³⁾”.

W połowie maja r. 1857, znękany psychicznie Ujejski zwraca się do Wolskiego z prośbą, by porozumiał się i ułożył z Pawlikowskim co do możliwości zamieszkania w Medyce:

„...Szukam kąta dla siebie i dla Tonii — i w tym mozesz mi być Kochany Ludwiku pomocnym. Zobacz się z Pawlikowskim; jeśli go няма we Lwowie dojeżdż do niego — (takiej sprawy nie można listem załatwić). Spytaj go, czy może mi ofiarować w Medyce jaką osobną izdebkę, może przy którym budynku oranżeryjnym i skromny wikt dla mnie i dla mego dziecka. Nie jestem całkiem bez funduszy, na wszystkie inne drobne potrzeby wystarczą mi one, a nawet i wikt (jeśli to było z dogodnością dla Mieczysława) mógłbym sam naimywać u którego z jego oficjalistów. Wiele względów ciągnie mnie do Medyki — naprzód towarzystwo z wyższym człowiekiem, którego pokochałem, a który także nie jest bez przyjaznego uczucia dla mnie, — potem ogród i biblioteka a najbardziej wielka rusewska żądza samotności, która jedynie

w okolicy całkiem mi nie znanej znaleźć mogę...⁽⁴⁾”.

W pierwszych dniach lipca tegoż roku zjechał Ujejski do Medyki. W Medyce znalazł to czego szukał: ciszę wsi polskiej wraz z całą krasą bogatej przyrody. Ujejski, poddawszy się urokowi otoczenia, tworzy szereg poematów. Po „Błoniach medycznych” pisze wiersz „Dla synów światłości” obrazki sceniczne „Rozbitki” i inne.

Do samotni medycznej Ujejskiego zaglądało jednak sporo osób. Wśród rozmów wykłuyało się wiele projektów, do których zapalał się i którymi entuzjazmował się autor „Chorału”. Jednym z takich projektów — to „Książeczki dla wiejskich szkółek”. O nich tak pisze do Mieczysława: „Urodziła się za natchnieniem bożem ogromna potęga w Medyce: Polskę nią poruszmy! Ludwik opowie Ci o wszystkim. Odjeżdża on stąd jak nabite działo. Tobie, pomimo tego, że musisz należeć do naboju — zostawiamy honor lontu: Zapalisz tę rzecz przy naszym okrzyku: Hurra! — toż zdawałoby się po tym wstępie, że to spiszek pod świeżo zlaną chorągwią Mazziniego. — Nie! to będą Książeczki do czytania dla wiejskich szkółek — do których ja wiersze pisać będę, naginając proroczy pathos mego ducha na ton Lenartowiczowski⁽⁵⁾”.

Warto kilka słów poświęcić genezie tego projektu. Tkwiła ona niewątpliwie w rozmowie Pawlikowskiego z Mickiewiczem, która toczyła się właśnie na temat oświaty ludu. Powiedział wtedy Mickiewicz: „Piszcie tylko dobre dzieła dla ludu, a lud będzie czytał. A na cóż zda się, aby umiał czytać jeśli nie będzie miał co czytać? nauczy się w szkółce i zapomni, — bo nie będzie czytał...⁽⁶⁾”.

Rozmowa ta, szeroko omawiana przez przyjaciół Pawlikowskiego, prowadziła do jednego wniosku: pisać dla ludu w sposób przystępny a zajmujący, by skłonić go do ciągłego czytania.

Przypuszczam, że pod wpływem tej konkluzji, zrodził się pomysł napisania przez Ujejskiego cyklu powiastek dla ludu a ucieleśnił się zaraz w legendzie zatytułowanej „Pług i szabla” (1857).

W październiku (1857) ukończył Ujejski „Rozbitki”, i poświęciwszy je Pawlikowskiemu w te słowa się doń odezwał:

„...Zapewne dowiedziałeś się w Krakowie o moich „Rozbitkach”. Wiem że powinienem był coś większego, coś

godniejszego Ciebie poświęcić Twemu imieniu — ale Ty stoisz w moim sercu w pierwszym a nielicznym rzędzie tej wielkiej armii, która go zapełnia, więc naturalnie, że częściej niż kto inny stoisz w mojej myśli; a napisawszy pierwszy obszerniejszy utwór w Medyce, zapragnąłem Tobie go poświęcić⁽⁷⁾”.

Pobyt Ujejskiego w Medyce przeciągnął się poza drugą połowę roku 1858. Gdzieś w listopadzie poczył się starać Ujejski o dzierżawę Zubrzy i z chwilą jej otrzymania, rozchodzą się wspólne dotąd ścieżki przyjaciół.

W miarę spadania barometru politycznego, wskazującego nadciągającą burzę roku 1863, Mieczysław, zajęty pracą rewolucyjną — nie wiele czasu poświęcić może otoczeniu.

Rok 1863 i 4 umożliwia rozdzielonym przyjaciołom spotkanie. Z memoriałów Kaczkowskiego, pisanych dla ministra policji austriackiej Melserego, dowiadujemy się sporo o Ujejskim i Pawlikowskim. Tak Ujejskiego, jak i Pawlikowskiego, zaliczył Kaczkowski do ludzi, tworzących najbardziej radykalną grupę, współdziałającą z Rządem Narodowym. Półtoraroczny okres więzienia Pawlikowskiego w Ołomuńcu, pobyt w Szwajcarii do jesieni 1866, wreszcie przeniesienie się Pawlikowskich do Krakowa, rozluźniły stosunki przyjacielskie.

W lutym 1868 zetknęli się znowu we Lwowie, o czym Mieczysław donosi swej żonie w tych słowach:

„Ujejski zdziaczał, zdziwaczał. Obecny mrówczy ruch, mrówcze prace organizacyjne i administracyjne w całym kraju, rady powiatowe, rady gminne, stowarzyszenia jawne i tajne, to dla niego świat niepojęty, niezrozumiały, wstrętny, pogardy godny. Wziąć udział w tym mrówczym działaniu on nie umie, a więc nie może. A gdyby i mógł — możeby nie chciał. „Może” powiadam, gdyż widzę z każdego jego słowa wielki żal do świata, do tego ruchu — że go to wszystko zostawia na boku — przemija koło niego jak koło statuy z dawnych czasów — jak koło martwego spektatora. Darmo, przyłóż rękę do dzieła sam, a mijać Cię przestaniem. Przyłóż rękę, a nie plwaj na te zdiębelki i ziarneczka, które my mrówki do wspólnych śpichlerzy ściągamy z mokoła... Wykrzykniki jego, eksacerbacje — gorzkie żale, klątwy i pseudo-prorocstwa przy tej sposobności wypowiedziane tak były śmieszne — że nawet wiele słusznych zarzutów, które czynił naszej Galilei śmiesznymi się wydawać musiały całemu towarzystwu, które nie było jakoś w usposobieniu nastrojenia ducha do jeremiaszowego kamertonu...⁽⁸⁾”.

Ów ton proroczy Ujejskiego, tak często podkreślany w jego utworach, budził w sercu Mieczysława nieprzychylny odzew. Ujejski głęboko wrośnięty w

romantyzm polski, nie umiał zrozumieć nowych kierunków, które popchnęły pokolenie powstaniowe do realnej pracy od podstaw. Znadto przywykł do ciągłego wspinania się na koturny proroka narodu i teraz, w chwili wieszania lutni w lamusie, by zastąpić ją cyrklem czy wagą, musiał boleć i prorokować uśnięcie ducha.

Jest feljeton w „Plotkach i prawdach” Pawlikowskiego, który przedstawia pseudo-poetę Daniela. Przy bliższym wniknięciu w treść tego świetnego feljetonu, pewne rysy charakteru zdają się portretować Ujejskiego. Wiemy z listu Pawlikowskiego do matki, że w „Plotkach” niejedna ploteczka jest prawdziwa i tylko nazwiska osób nie wymienione⁽⁹⁾, a cytaty wyjęte z listów do żony o „pseudo-prorocztwach” Ujejskiego zdaje się wskazywać, że najprawdopodobniej owym prorokiem Danielem jest twórca „Skarg Jeremiego”. Czytelnik, zwiacając się do autora feljetonu o „prorokach” w tych słowach przemawia: Wybrałeś sobie typ całkiem wyjątkowy, podczas gdy w naszej Galicji proroków naliczyłbyś na kopy, ale proroków innego gatunku... Na co autor feljetonu odpowiada: „Muszę zaprzeczyć, aby Daniel był wyjątkowym typem... To go może wyróżnia od innych, iż wieszczego charakteru i proroczych inspiracji nie stracił w późniejszym wieku.”

Stosunki Pawlikowskiego z Ujejskim po r. 1871 są nadal serdeczne. Kiedy Pawlikowski podziękował za przesłane mu „Żywe słowa Jeremiasza”, Ujejski odpowiedział mu listem, który najlepiej charakteryzuje obu przyjaciół:

Najdroższy mój!

„Gdybyż więcej takich żywych słów” — i Ty to piszesz? Twój list był takim żywym słowem i potężniejszym od mego. Na Boga! czemu gniesz w sobie tyle siły! — Rozbudź się, o-rzeźwij — i wstań! Taka biedna Polska a jej Tytany snem spętane — czasy nadchodzą — do bronii! Do bronii ducha, bo przecież wiesz, że tylko w taką broń wierz. Jesteś jednym z wodzów Polski i opatrność niedarmo skazała Cię na mieszkanie i świadkowanie tej zginiźnie, jaka się w Krakowie wzmacnia. Wstań i mów! Zedrzyj maskę z faryzeuszów — zetrzyj pychę — ocal miasto nasze święte. Tyś na to powołany. Nie czas już nam na książki — rzucaj żywe słowa w pojedynczych listach...⁽¹⁰⁾

Ja i Ty, daj Boże takich najwięcej — my jesteśmy bezimienni. My służymy Polsce bez nagrody i incognito. Ściskam Cię i całuję z całej duszy

Twój Kornel⁽¹¹⁾

Niechaj się stanie zadość życzeniu Ujejskiego i niech te dwa imiona węzłami szczerzej przyjaźni zbratane w młodości pozostaną „w pamięci ludzkiej bliźniętami”.

N. B. Cytowane listy znajdują się bądź w archiwum Rodziny Pawlikowskich w Medyce, bądź w Bibliotece im. Gwালberta Pawlikowskiego przy Zakładzie Nar. im. Ossolińskich we Lwowie.

Przemyśl, we wrześniu 1934.

St. Sierotwiński

⁽¹⁾ List K. Ujejskiego do M. Pawlikowskiego z dn. 7 kwietnia 1877.

⁽¹⁾ List K. Ujejskiego do M. Pawlikowskiego z dn. 11 lipca 1857.

⁽²⁾ Do ciekawostek zaliczyć należy wiadomość, że w dniu ostatniego przedstawienia artystki Ney „na publiczność zjechał z galerji deszcz wierszów pożegnalnych Ujejskiego, Schwarza i Beltramięgo: po polsku, niemiecku i włosku. Niezłe wszystkie. Ujejski daje jej przestroję: Byś nas znadto nie rwała do nęba. Bo nam na zjem żyć i walczyć trzeba.” (Pamiętnik Mieczysława Pawlikowskiego z marca 1850 r.).

⁽³⁾ List K. Ujejskiego do Ludwika Wolskiego z r. 1857.

⁽⁴⁾ List K. Ujejskiego do L. Wolskiego z dn. 24 maja 1857.

⁽⁵⁾ List K. Ujejskiego do M. Pawlikowskiego z dn. 23 lipca 1857.

⁽⁶⁾ List M. Pawlikowskiego do J. Dobrzańskiego z r. 1857. (Relacja ta różni się nieco od zamieszczonej w t. XVI. (Rozmowy z A. Mickiewiczem) sejmowego wydania dzieł Mickiewicza str. 433 i 4.)

⁽⁷⁾ List K. Ujejskiego do M. Pawlikowskiego z dn. 26 listopada 1857.

⁽⁸⁾ List Mieczysława Pawlikowskiego do żony z dn. 24 lutego 1866.

Konsyljum lekarskie w 347 lat

po śmierci pacjenta

(Na co umarł Stefan Batory)?

Sprawa zagadkowej choroby i nieoczekiwanego zgonu Stefana Batorego była już wielokrotnie przedmiotem dociekań, sporów i dyskusyj. Jak wiadomo, król Stefan Batory, który jeszcze 3 i 4 grudnia 1586 roku — wśród przenikliwego mrozu i wiatru — przez cały dzień niemal polował i czuł się zupełnie dobrze, — dostał następnie silnych napadów duszności, połączonych częściowo z utratą przytomności, a dnia 12 grudnia, wśród podobnego napadu, zakończył życie.

Nagły ten zgon przyszedł tak nieoczekiwanie, iż niemal bezpośrednio po śmierci króla poczęły krążyć wieści i plotki, jakoby król został otruty. Więści te rozsiewał nadworny lekarz królewski Mikołaj Buccella, wskazując na kolegę swego po fachu Szymona Simoniusa, drugiego lekarza królewskiego, jako sprawcę tej katastrofy.

Na tem tle wywiązała się gwałtowna polemika między oboma lekarzami, polemika ciągnąca się przez trzy lata, a obejmująca ogółem zgórą tysiąc stron druku! Nawiasem mówiąc, utrzymana ona była w tonie, nie przynoszącym zaszczytu dostojnym eskulapom królewskim. Zwłaszcza Simonius nie przebiegał w słowach, rzucając pod adresem swego kolegi, za którego poleceniem dostał się na dwór królewski, takie soczyste epitety, jak: „dico tibi asine Ce'si sententiam... „tu miserrime chirurgaster“... „negare audes canis...“ itp.

Polemika ta miała jednak tę dobrą stronę, że przyniosła dużo szczegółów o chorobie i śmierci króla, — co prawda niejednokrotnie sprzecznych między sobą. Dowiadujemy się z nich również o wyniku sekcji, nie w dzisiejszym znaczeniu, jako sekcji anatomo - patologicznej, lecz podjętej w celu zabalsamowania zwłok królewskich.

Pozatem pierwszorzędnym materiałem historycznym jest bezimienny rękopis pt. „Prawdziwa sprawa o chorobie i śmierci nieboszczyka Stefana Batorego, króla polskiego“. Rękopis ten, znany nam tylko z odpisu przechowanego w Krakowskim Muzeum Czynotoryskich, sporządzony został wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przez lekarza dr. Gosławskiego, który był obecny przy sekcji. Jak widać zatem, historyk medycyny ma w danym wypadku dość obszerny materiał do dyspozycji.

Toteż kwestja choroby i śmierci Batorego była już niejednokrotnie przedmiotem dociekań i orzeczeń zarówno historyków jak i lekarzy którzy podawali najrozmaitsze diagnozy, począwszy od apopleksji i nawet kiły, — aż do zapalenia nerek, osłabienia mięśniowego i cukrzycy.

Ostatnio zajął się tą sprawą krakowski lekarz — dermatolog, dr. Fr. Walter. Pragnąc zaś dojść do możliwie pewnych konkluzyj, zainicjował oryginalne konsyljum lekarskie... w 347 lat po śmierci pacjenta. W skład tego konsyljum weszli wybitni lekarze, specjaliści chorób nerwowych, skórnych i wewnętrznych, dalej profesorowie historii medycyny i anatomii patologicznej.

Orzeczenia poszczególnych lekarzy oraz ostateczne konkluzje, zgodnie u-

stalone publikuje dr. Walter w „Polskiej Gazecie Lekarskiej“.

Dowiadujemy się z nich między innymi o bolesnych owrzodzeniach obu gołeni, na które król cierpiał przez szereg lat, jeszcze w Siedmiogrodzie, a które powstały skutkiem zwichnięcia kolana i pokąsania przez psa. Po wyleczeniu tych wrzodów król popadł w jakąś dziwną chorobę, połączoną z przejściową utratą mowy i niepewnością chodu. Wówczas lekarze doszli do wniosku, że choroba ta powstała skutkiem niepotrzebnego wyleczenia owych wrzodów; postanowili „utworzyć nowy sztuczny upust“, przez który mogłyby wyciekać „zepsute soki“. Tak się też stało: pod kolanami, zapomocą przyżegania skóry rozpalonem żelazem utworzyli sztuczne owrzodzenia, nie dopuszczając do ich zagojenia.

Następstwem tego zabiegu było, iż król odczuwał stale silne dreszcze, a niekiedy i utykał na nogę.

Cierpienie to, aczkolwiek dokuczliwe i bolesne, nie było i nie mogło być

przyczyną śmierci Batorego, który był mężczyzną silnej budowy, zahartowanym w trudach, polowaniach i wyprawach wojennych.

Z relacji Buccelli wynika, że Stefan Batory był konstytucji „apoplektycznej“, pijał chętnie dobre wino, dużo polował i używał kąpieli „o ściągających pierwiastkach“. Wiadomo nam również, że jeszcze w Siedmiogrodzie „przyszła nań affekcja więcej niż przez tydzień, co żadnym sposobem nie mógł mówić to co chciał“. Jaka była przyczyna tych zaburzeń mowy (które zresztą raz i w Polsce się powtórzyły), — tego dziś żadną miarą ustalić nie można.

Główne zainteresowanie lekarzy skupia się na wynikach sekcji, w szczególności zaś na opisie nerek, które były „jako wołowe“, „górkowate, a nie gładkie, a w człowieku są nerki jako w skopie“...

Z opisu tego wnioskować można, że nerki króla były znacznie powiększone

i różniły się kształtem od normalnych. Biorąc pod uwagę określenie „jako wołowe“, oraz uwagę Buccelli, że podobnych nerek „nie widział w żadnym ciele“, — dochodzą lekarze do konkluzji, że król cierpiał na rzadką bardzo chorobę, zwaną „torbielowatością nerek“ (renes polycystici).

Choroba ta ciągnęła się przez czas dłuższy, nie wywołując groźniejszych komplikacji. Decydującym, szkodliwym czynnikiem stało się dopiero silne przeziębienie, na jakie król naraził się podczas forsownego polowania w mroźny dzień grudniowy. Choroba przeszła w ostry stan zapalny, połączony z objawami duszniczymi i mocznicy, kładąc wkrótce kres życiu Batorego.

Oczywiście rozpoznanie przyczyny choroby i śmierci króla Stefana — na podstawie niekompletnych i nieraz sprzecznych relacji współczesnych, — może mieć tylko wartość hipotezy i za takie uważają ją też i sami lekarze wchodzący w skład owego konsyljum.

Tem niemniej pozostanie ono wartościowym i bardzo interesującym dokumentem w dziedzinie trudnych badań nad życiem i śmiercią postaci historycznych, zmarłych przed wiekami.

(R.)

Cystersi na Podhalu (W 700-lecie sprowadzenia Zakonu)

W XIII wieku dolinę nowotarską zarębały jeszcze nieprzebyte bory, prawie bezludne, wśród których czasem zabłąkał się człowiek-myśliwy lub pasterz, lub co gorsza zbior, unikający zetknięcia z karzącą dłonią sprawiedliwości.

Tak wyglądało Podhale, gdy w roku 1234 na podstawie przywileju Henryka Brodatego przeszło na własność kasztelana krakowskiego Cedrona (Teodora) herbu Gryf. Cedron był niegdyś ubogim rycerzem, który w służbie książęcej doszedł do zaszczytów i wcale znacznego majątku. Wspomniany wyżej przywilej upoważnia kasztelana do osiedlania kolonistów niemieckich w lasach nad rzekami, które zowią Ostrowsko, Dunajec Biały i Czarny, Rogóżnik, Siepietnica, Stona, Ratainicha, Nedelska, Stradoma. Niezależnie od tych dóbr, obejmujących już i tak znaczne obszary, stworzył Cedron jeszcze drugi klucz, a mianowicie Godusie, Gruszowiec, oraz Szczyrzyż z przynależnymi doń wsiami i trzci, do którego należą Mogilany i Krzyrkowice.

Pierwszy z wymienionych kluczów, podhalański, postanowił zamożny kasztelan oddać słynacemu z pracowitości i ascezy zakonowi Cystersów.

Sporządził więc odnośny akt i już w r. 1235 kapituła generalna wydelegowała do nowo powstałej osady Ludzimirza opatów cysterskich z Sulejowa Wąchocka i Koprzywnicy dla zbadania miejscowości.

Opinia komisji musiała wypaść po myśli Cedrona, bo w cztery lata później (1239) zakonnicy sprowadzili się już do klasztoru.

Działalność ekonomiczna i kulturalna Cystersów ludzimirskich była zrazu poważnie zahamowana napadami pogranicznych band, które dopuszczały się ustawicznie grabieży.

Broniąc się przed zbójcami założyli podobno mnisi zameczek na skale w Szaflarach, dokąd się w razie napadu chronili. Około r. 1254 na ziemiach oddanych Cystersom wymieniają dokumenty już 6 miejscowości Ludzimirz, Długo-

pole, Dębno, Ostrowiec (dziś nieludnie), Ostrowsko i Wilcze pole (nie istnieje). Nie musiały to jednak być wsie, ale raczej role uprawiane przez nielicznych osadników.

Trudno jest dziś określić wyraźnie, jaki był stan posiadania Cystersów ludzimirskich. Długosz w Liber beneficiorum wymienia jako dobra cysterskie Nowy Targ, Szaflary, Waksmund, Kłuszkowa, Porębę, Niedźwiedź, Wilcze Pole, Podobin, Olszówkę, Mszanę, Kasinę, Ogonówkę, Dębno, Ostrowsko, Ostrowiec i górę Gorcz wznoszącą się na wschód od Nowego Targu. Wykaz ten nie jest jednak zgodny z prawdą, gdyż jak stwierdzają źródła, Nowy Targ, Szaflary, Waksmund, Mszana, Kasina były Królewszczyznami, a Dębno i Ostrowsko własnością rycerską.

Pierwsze dziesięciolecie Cystersów na Podhalu było nadzwyczaj ciężkie: wspominałem już o zbójcach, którzy mnichów napastowali, teraz przyłączyła się do nich druga plaga — Tatarzy.

W r. 1241 pojawili się w dobrach klasztornych i tak okolicę całą wyludnili, że mnisi nie mogąc się ponownie zagościć, postanowili niegościnnie progi opuścić. Wtedy przyszedł im z pomocą kasztelan fundator klasztoru i przeniósł (w r. 1249) siedzibę opactwa do Szczyrzyca, gdzie było już zupełnie bezpiecznie.

Z czasów pobytu klasztoru na Podhalu zachowały się dwa przywileje, wystawione przez opatów ludzimirskich, świadczące o akcji kolonizacyjnej zakonu. Jeden z nich z r. 1327 przenoszący wieś Długopole z prawa polskiego na magdeburskie, drugi z r. 1333, w którym poraz pierwszy jest wzmianka o cysterskiej wsi Krauszowie.

Za czasów panowania Ludwika Węgierskiego zebrały się nad opactwem szczyrzyckim ciemne chmury. Mnisi, którzy po przeniesieniu do Szczyrzyca z powodu znacznej odległości nie mogli osobiście kluczem ludzimirskim administrować, wydzierżawili go jakiemuś żydowi, neoficie, który tam bił fałszywą monetę.

Gdy opat nie wydalil fałszerza dość szybko, padło na niego podejrzenie, że fałszerza osłaniał, wtedy to zameczek z królewskiego rozkazu został zburzony, fałszerz spłonął na stosie, a wszystkie dobra cysterskie położone w dolinie nowotarskiej uległy za karę konfiskacie.

Po długich staraniach udało się Cystersom odzyskać już po śmierci Ludwika Węgierskiego Ludzimirz i Krauszówkę.

Dziś na miejscu, gdzie było dawniej opactwo ludzimirskie, znajduje się ładny murowany kościółek, z plebanją w pobliżu, gdzie mieszka świecki proboszcz. Rok rocznie 15-go sierpnia zbierają się w Ludzimirzu na odpust górale z całego Podhala, mienią się wtedy pstremi wyszyciami kożuszek z fantazją przez parobczaków noszone, sypące iskrami świecidełka bogatych gorsetów, a po niesporach, gdy starsi i poważniejsi gazdowie rozjadają się już do domów, odpust zamienia się w wesołą zabawę, huczącą śmiechem, muzyką licznych katorynek, dzwonek karuzel i t. p.

R. R.

Nie wolno mówić po walijsku!

W Abergele w Walii wznosi się sanatorium dla dzieci, jedno z największych w W. Brytanii. Należy ono do pewnego dobroczynnego stowarzyszenia mającego siedzibę w Manchester.

Jako pielęgniarki zatrudnione są przede wszystkim Walijki, to też około połowy ich używa w rozmowach między sobą ojczystego języka. Stanowiąc mniejszość Angielki, Szkotki i Irlandki zaprotestowały przeciw temu i zarząd wydał zakaz rozmawiania po walijsku, którego odpis umieszczono nawet w głównej sali jadalnej. Ciekawy ten dokument zredagowano wcale ostro, piętnując postępowanie się w obecności innych pielęgniarek niezrozumiałą dla nich mową jak „grubą nęgrzeczność“ i zaznaczając, że wiele Angielek wskutek tego podziękowało za służbę.

Walijki są oburzone i oświadczyły, że nie myślą na własnej ziemi wyrzekać się własnego języka.

Rozbijacze atomów

Wiek XX obfitujący w wspaniały rozwój nauk przyrodniczych i technicznych, a w szczególności fizyki, śmiało możemy nazwać wielkim wiekiem zdobywcy rozumu ludzkiego. Przyroda, która zazdrośnie strzeże swych tajemnic, stale ustępuje przed geniuszem umysłu ludzkiego, raz poraż zdzierającym zasłonę z jej zagadek.

Począwszy od bezkresnych przestrzeni wszechświata, tego ogromu materii — makrokosmosu, a skończywszy na najdrobniejszych cząsteczkach materii — mikrokosmosie, wszędzie człowiek stara się dociec, a wyniki badań w tej dziedzinie, stanowią ogromny triumf współczesnej fizyki.

Podstawą współczesnej fizyki, oraz pokrewnych jej nauk przyrodniczych, z których wymienimy tylko takie jak chemia, astronomia i biologia, jest istota materii, której badania wyjaśniają nam wiele zagadek wszechbytu i stanowią szkielet do nowych odkryć.

Materia, — ta prasubstancja wszechświata, była od czasów najdawniejszych przedmiotem badań uczonych i po dzień dzisiejszy jest zagadnieniem wciąż żywym i istotnym.

Zagadnienie to zajmowało już filozofów greckich, ześrodkowując się w pytaniu, czy substancja wszechświata ma budowę ciągłą, czy też nieciągłą? Dziwnym trafem, pośród całej masy fantastycznych hipotez, jakimi były naszpikowane nauki przyrodnicze w czasach starożytnych i średniowiecznych, wiele zagadnień zostało ówczesnie rozwiązanych prawdziwie, lub w sposób zbliżony do prawdy, a między innymi, również przypuszczenie co do istoty materii, było takie, jakie dzisiaj jest stwierdzone.

Mianowicie szkoły Lukrecjusza, Demokryta i Leukippa, były zwolennikami ostatecznej nieciągłości materii, t. zn. przyjmowały, że wszelka substancja poddana podziałowi odpowiednią ilość razy, okaże się zbudowaną z cząsteczek, których dalszy podział jest niemożliwy.

Oczywiście, jakie to są cząsteczki itp. wówczas nie wiadano, przypuszczano np., że ziarenka piasku są produktem ostatecznego podziału skał i kamieni. Dopiero w czasach nowożytnych, a w szczególności w wieku XX, dowiedziano, że najdrobniejsze cząsteczki materii widzialnej gołym okiem, nie są wynikiem ostatecznego podziału materii i że można je podzielić jeszcze wielką ilość razy.

I podzielono je w laboratoriach fizycznych XX wieku. Chcąc przedstawić w możliwie najprostszy i najbardziej zrozumiały sposób budowę materii, musimy pamiętać, że występuje ona w trzech stanach skupienia: stałym, ciekłym i gazowym. Dla przykładu weźmy np. wodę, która występuje w trzech stanach skupienia.

Chcąc rozłożyć na najdrobniejsze cząsteczki, bierzemy wodę, która znajduje się w stanie stałym — lód i ogrzewamy. Wskutek ogrzania, lód zaczyna topić się, przechodząc w stan ciekły — wodę, która ogrzewana w dalszym ciągu, zaczyna parować. Czyli, że woda pod wpływem gorąca rozpada się na najdrobniejsze cząsteczki — parę wodną. Cząsteczki wodne, tworzące parę, są bardzo małe, a ilość ich jest olbrzymia, bo 1 cm³ wody zawiera 3,37.10²² cząsteczek, z których każda waży 3.10⁻²³ grama.

Wedle sir Jamesa Jeans'a, ilość cząsteczek, zawartych w 1 cm³ wody, ułożona w szereg, utworzyłaby pas, który mógłby opasać kulę ziemską 300 tysięcy razy.

Cząsteczki gazu poruszają się z bardzo wielkimi szybkościami. W zwykłej temperaturze pokojowej, szybkość ta wynosi średnio około 450 m. na sekundę. Oczywiście ze wzrostem temperatury, wzrasta szybkość poruszania się cząsteczek (np. cząsteczki pary wodnej w kotle parowym, poruszają się z szybkością do 1000 m. na sek., czem się tłumaczy też ciśnienie pary, wywierane na tłoki.).

Wedle sir Jamesa Jeans'a, obliczono w laboratoriach fizycznych, że w zwykłym powietrzu, każda cząsteczka gazu, ulega trzem miliardom zderzeń w ciągu sekundy z innymi cząsteczkami gazu, przyczem odległość t. zw. „średniej drogi swobodnej“, w czasie której cząsteczki gazu nie zderzają się, wynosi 0.00015 mm. Jeżeli dany gaz ulegnie ściśnieniu (w tym wypadku powietrze), to „średnia droga swobodna“ znacznie się zmniejszy, przy równoczesnym wzroście zderzeń cząsteczek. Odwrotnie natomiast, przy rozrzedzeniu gazu, ilość zderzeń zmniejszy się, ze wzrostem „średniej drogi swobodnej“.

Najwyższy stopień rozrzedzenia gazu uzyskany w laboratorium jest taki, w którym „średnia droga swobodna“ cząsteczek gazu, wynosi 100 metrów, a każdy milimetr sześcienny gazu zawiera jeszcze „tylko“ około 36 milionów cząsteczek. Mimowoli nasuwa się analogia pomiędzy mikrokosmosem a makrokosmosem, przyczem zgęszczenie cząsteczek w makrokosmosie, które są ciałami niebieskimi, jest w stosunku do mikrokosmosu w każdym wypadku znacznie mniejsze.

Podwaliną do zrozumienia ruchu cząsteczek, oraz wszelkich pokrewnych zjawisk, było odkrycie w XIX wieku „zasady zachowania energii“, orzekającej, że żadna energia nie może zostać zniszczoną, a tylko jedna energia może zamienić się w drugą. Lecz czy najdrobniejszej cząsteczki (widzialnej gołym okiem) jakiegokolwiek materii nie można podzielić na części jeszcze drobniejsze? Proste doświadczenie fizyczne wskazuje nam, że można. Jeżeli do szklanki z wodą zanurzymy dwa druciki zwykłej baterijki elektrycznej, zobaczymy, że na obu przewodach gromadzą się pęcherzyki gazu, które, jak wykazała analiza, mają zupełnie inne własności. Na jednym druciku, pęcherzyki gazu zawierają tlen, na drugim wodór, przyczem ilość pęcherzyków z wodorem jest dwa razy większa, aniżeli ilość pęcherzyków z tlenem. Prąd elektryczny rozłożył więc cząsteczki wody na dwa gazy: tlen i wodór, z czego wniosek, że woda składa się z dwu cząsteczek wodoru (H) i jednej cząsteczki tlenu (O), co przedstawia się wzorem chemicznym wody — H₂O. Istnieją więc drobniejsze części od „cząsteczek“ — atomy — pierwiastki.

Wszystkie więc materje w makrokosmosie (jak i też wszystkie przedmioty na ziemi) składają się z pierwiastków. Analiza wszystkich znanych substancji na ziemi, ujawniła 92 pierwiastków, z czego większość pierwiastków występuje nadzwyczaj rzadko. (Ostatnio prasa doniosła o odkryciu nowego pierwiastka, przez uczonego włoskiego Fermi, nazwanego „pierwiastkiem 93“

oraz o odkryciu drugiego pierwiastka, o ciężarze atomowym 238.17, większym od ciężaru at. uranu, przez uczonych amerykańskich Smith'a i Steinbacha.)

Wszystkie substancje, znajdujące się na ziemi, składają się z różnych kombinacji atomów małej ilości pierwiastków, z których najczęściej występuje 14 pierwiastków, a to: wodór, węgiel, tlen, azot, potas, sód, magnez, żelazo, siarka, wapń, fosfor, krzem, chlor i glin. Inne pierwiastki występują w małej ilości, a jeszcze inne są niejako tylko okazami. Badania atomów zapoczątkowane zostały z chwilą odkrycia analizy widmowej. Nie sposób jednak w artykule wymienić tych wszystkich uczonych, którzy poświęcili się badaniom atomu. Wspomnę tylko o niektórych.

W r. 1895 Thomson wykazał, że atomy składają się z odrębnych fragmentów, posiadających jednakową masę i niosących jednakowe naboje elektryczności ujemnej, stąd też nazwanych „elektronami“. Ale atom nie może składać się z samych tylko elektronów, ponieważ wówczas jako całość, byłby nabojem elektrycznym ujemnym, a badania wykazały, że atom jest elektrycznie obojętny. Musi więc atom posiadać na bój elektryczny dodatni, który zubożętnia naboje elektryczne ujemne. Doświadczenia Rutherforda, ujawniły budowę atomu, która analogiczna jest do budowy układu słonecznego. Elektrony więc są w ciągłym ruchu dookoła jądra atomowego, tak jak planety są w ruchu dookoła słońca.

Elektrony biegną na swych małych orbitach z szybkością bardzo wielką. Okrążają one jądro atomowe wiele tysięcy bilionów razy na sekundę. Szybkość, z jaką poruszają się elektrony, większa jest od szybkości ruchu planet. Jak więc wielkim jest atom, elektron, i jądro atomowe? Atom o promieniu ok. 2.10⁻⁸ cm., posiada średnicę 100 tysięcy razy większą od średnicy elektronu, zaś jego objętość jest tysiąc bilionów razy większa od objętości elektronu. Rozmiary jądra atomowego są mniejsze lub najwyżej równe rozmiarom elektronu, jakkolwiek masa jądra atomowego jest większa ok. 4 tysiące razy od masy wszystkich elektronów w atomie.

W r. 1896 Becquerel odkrywa promieniowanie ciał, zawierających w sobie pierwiastek uranu. Odkrycie to (a później inne) znacznie przyczyniają się do zrozumienia istoty atomu. Maria Curie - Skłodowska wraz z mężem odkrywają promieniowanie radu i innych pierwiastków, a zjawiska promieniotwórczości zostają w r. 1903 objęte hipotezą „samorutnego rozpadu promieniotwórczego“, przez Rutherforda i Soddy'ego, co oznacza, że promieniotwórczość związana jest z samorutnym rozpadem jąder atomowych pierwiastków promieniotwórczych, czyli — zmiany jednego pierwiastka w drugi (np. pierwiastek uranu zamienia się w ołów). Zmiana ta odbywa się w czasie bardzo długim, na przestrzeni setek tysięcy lat i dlatego jest dla oka ludzkiego niewidoczna.

Proces zmiany jednego pierwiastka w drugi, przechodzi przez trzy kolejne stadia, w czasie których substancja pierwiastka wysyła porządkowo trzy rodzaje promieni, a to: promienie „alfa“, „beta“ i „gamma“.

Promienie „alfa“ składają się z cząstek dodatnio naelektryzowanych (t. zw. cząsteczek „alfa“). Cząsteczki „alfa“ poruszają się z olbrzymią szybkością,

która zależna jest od rodzaju ciała promieniotwórczego. Największa szybkość cząsteczek „alfa“ wynosi 20.600 km. na sekundę, czem się tłumaczy zdolność ich przenikania przez różne substancje.

Promienie „beta“ składają się z ujemnie naładowanych elektrycznością elektronów i poruszają się z większą szybkością od promieni „alfa“; szybkością dochodzącą do 300 tysięcy km. na sekundę.

Promienie „gamma“ nie składają się z cząsteczek materialnych, lecz są wynikiem szczególnego rodzaju promieniowania.

Epokowe doświadczenia prof. Wilsona, pozwoliły na badanie oddzielnych dróg promieni „alfa“ i „beta“, oraz na sfotografowanie tychże. Dzięki poznaniu ciał promieniotwórczych, można poznać atomy ciał niepromieniotwórczych, co więcej — można inne atomy rozbić używając jako ciał bombardujących promieni „alfa“.

W r. 1919, prof. Rutherford, pierwszy zaczął rozbić atomy przy pomocy promieni „alfa“, metodą wynalezioną przez siebie. I tak, udało się Rutherfordowi rozbić atomy wodoru i azotu, później zaś, wraz z prof. Chadwickiem rozbił Rutherford atom boru, sodu, fosforu, glinu i fluoru. Rozbijanie atomów udało się utrwalić na kliszy fotograficznej, metodą Wilsona. Prace nad rozbijaniem atomów, trwają nadal. Poza wyżej wymienionymi, zagadnieniem tem zajmują się uczeni tej miary, jak: Kirsch Pettersson, Walton, Cockroft i in., używając różnych metod, w których wielką rolę odgrywa zastosowanie bardzo wysokich napięć elektrycznych.

W krótkim rysie, temat nie został wyczerpany. Pozostałoby jeszcze omówić własności ciał promieniotwórczych, a więc promieniowanie termiczne i kosmiczne, skutki promieniowania, przedstawić dokładnie własności jądra atomowego, wspomnieć o izotopach i protonach, omówić „teorię kwantów“ i orbity elektronów, ale zagadnienia te wykraczają poza ramy artykułu.

Zapoczątkowane w mrocznych pracowniach alchemicznych średniowiecza, prace nad przemianą ołowiu w złoto i szukanie „kamienia filozoficznego“ — przy pomocy czarnej magii i szarlatanstwa, urzeczywistniają się w laboratoriach fizycznych i chemicznych XX wieku, przy pomocy, z trudem zdobytej wiedzy przyrodniczej i wielkości geniusza umysłu ludzkiego.

t. k.

Pszczoły przychodzą na pomoc bankowi

Zeszłego roku w jednym z momentów, w których dolar amerykański spadał, zaszedł następujący wypadek: Do kas First National Bank w Hempstead na Long Island zgłosiły się tłumy ludzi, żądające swoich wkładek. Nagle ogromną salę wypełnił olbrzymi rój pszczoł. Próbowano je wypędzić, ale na próżno. Między czekającymi na pieniądze rozszalała się pogłoska, że jest to sztuczka dyrekcji banku, któremu zabrakło gotówki. To też ani jeden z interesentów nie dał się odstraszyć natarczywym owadom. Wszyscy mimo ukąszeń wytrwali, chociaż manipulację przydłużało ogromnie ustawiczne opędzanie się. Taka sytuacja trwała przez kilka godzin. Wreszcie zjawiał się zbawca. Był nim sprytny farmer, który nasmarował łaskę jakimś słodkim płynem i podstawił królowej. Gdy ta usiadła i zaczęła raczyć się syropem, cały rój poszedł za jej przykładem — a obliczano go na 30 tysięcy pszczoł. Farmer siadł ze swą łaską do auta pośród podziękowań i oklasków.

Tunel pod Mont - Blanc

W siedmiomilowych butach kroczy dzisiejsza technika, zwalczając zwycięsko wszelkie przeszkody. Genjusz ludzki potrafił opanować powietrze, dotrzeć do niezmierzonych głębin oceanu. Opasał wstęgami szyn kolejowych cały świat, skracał odległości, ułatwiając komunikację poprzez rzeki i niebotyczne góry.

Już i Alpy przestały być tą nieprzebytą — zdawało się — barierą, za jaką uchodziły niedalej jak przed pół wiekiem. Tunele pod Simplonem, Loetschbergiem i Mont Cenis łączą słoneczną Italię z wszystkimi krajami Europy.

Jeden tylko, najwyższy szczyt, Mont-Blanc stanowi dotychczas trudną do przebycia zapórę, którą musi się objeżdżać okrężną drogą, o ile ktoś nie zdecydował się na emocjonujący i kosztowny przelot w samolocie ponad ośnieżonymi szczytami Alp.

Kto wie jednak, czy już za parę lat nie będzie można przejechać wygodnie luksusowym autem z Chamonix we Francji do Courmayeur we Włoszech w ciągu jakichś 30 minut — i to wprost przez Mont - Blanc!

Dwie te miejscowości leżą w odległości około 13 kilometrów, po dwóch przeciwnych zboczach Mont-Blanc, a na przebiegu tej przestrzeni potrzebuje dziś wytrawny alpinista co najmniej 12 godzin czasu.

A dodać jeszcze trzeba, że właśnie ten odcinek drogi (w idealnej linii prostej Chamonix — Courmayeur), przedstawia na mapie Europy ów idealny punkt, w którym schodzą się drogi wodące do Włoch z Anglii, Holandii, Belgii, Francji, Szwajcarii i częściowo z Niemiec. Największe znaczenie ma on dla Francji i Włoch, leży bowiem na idealnej linii łączącej stolice obu tych państw.

To też Paryż i Rzym zainteresowały się żywo projektem przedłożonym przez szwajcarskich inżynierów Ant. Bruna i Monod'a, występujących imieniem syndykatu francusko-włoskiego.

Projekt ten przewiduje wywiercenie przez Mont-Blanc tunelu, długości 12½ km., który łączyłby Chamonix z Courmayeur. Przewidziane jest wybudowanie dwóch równoległych galerii o średnicy 6 mtr., których ściany wyścielone byłyby armaturą żelbetonową.

Z punktu widzenia nowoczesnej techniki przewiercenie tunelu w granitowym masywie olbrzymia nie przedstawia żadnych trudności. Nie mniej ważną jednak jest i kwestia należytej wentylacji: wedle opinii geologów temperatura w tunelu dochodzić będzie do 45 st., a nie da się obniżyć więcej niż do 30 st.

Ta ostatnia kwestia — należyta wentylacja — odgrywać będzie pierwszorzędną rolę i później, z chwilą oddania tunelu do użytku publicznego. Wedle projektu bowiem ma służyć tunel ten wyłącznie tylko do komunikacji samochodowej, przyczem przewiduje się, że w

ciągu roku przejeżdżać będzie przez tunel sześćset tysięcy samochodów. Maszyny wentylacyjne będą tedy miały trudne zadanie nieustannego, intensywnego oczyszczania powietrza z gazów wywołujących się ze spalania benzyny.

Projektowany tunel biegłby na wysokości około 1200 mtr., ze spadkiem przekraczającym miejscami 7%. Co się tyczy strony finansowej całego przedsięwzięcia, to koszty budowy całego tunelu wyniosłyby około 300 milj. fr.

Koszty te zamortyzowałyby się w ciągu 55 lat, dzięki opłatom pobieranym za przejazd przez tunel, a preliminarowa-

nych w granicach 25 do 34 franków od wozu.

Prace nad budową tunelu zajęłyby co najmniej trzy lata czasu, dając zajęcie setkom i tysiącom bezrobotnym, i z tego zatem względu gigantyczny ten projekt zasługuje na uwagę.

Miałby on poza tym ogromne znaczenie polityczne i moralne, łącząc bezpośrednio Piemont ze Sabaudią, a temsamem przyczyniając się do zacieśnienia stosunków między Francją i Włochami.

Wobec wielkiego zainteresowania się tym projektem rządów obu państw można spodziewać się, że już w niedalekiej przyszłości przyoblecze się on w realne szaty, stając się nowym, wspaniałym pomnikiem genjusza ludzkości. (kr.)

„Wojna bakteriologiczna” jej szanse i niebezpieczeństwa

Niedawne rewelacyjne artykuły angielskiego dziennikarza Wickhama Steeda w „Nineteenth Century and after” na temat przygotowań niemieckich do wojny gazowej i bakteriologicznej wywołały zaniepokojenie, przede wszystkim we Francji i w Anglii.

W szczególności opinia publiczna czekała na wyjaśnienia z miarodajnej strony, jakie niebezpieczeństwo przedstawia „wojna bakteriologiczna”, polegająca na zatrutowaniu atmosfery zarazkami groźnych chorób.

W sprawie tej zabrał obecnie głos wybitny specjalista — bakteriolog A. Trillat, który od szeregu lat pracuje w paryskim instytucie Pasteura nad zagadnieniem przenoszenia się chorób zakaźnych drogą powietrzną.

W wojnie bakteriologicznej wykluczyć trzeba zgóry wszystkie te zarazki chorobotwórcze, które dostają się do organizmu człowieka przez przewód pokarmowy, — jak tyfus brzuszny i cholera. Zakażenie następuje najłatwiej i najczęściej przez wodę — i nie trudno temu zapobiec przez zastosowanie odpowiednich środków ostrożności.

Nie wchodzi tu również w rachubę takie groźne choroby, jak żółta febra, śpiączka, dżuma lub tyfus plamisty, przenoszone na człowieka przez wszystkie komary czy szczerzy.

Po wyeliminowaniu tych wszystkich, najgroźniejszych plag ludzkości, — pozostają nam tylko choroby zaraźliwe, których bramą wpadową do organizmu ludzkiego są płuca i narząd oddechowy. A więc: grypa, dyfteria, szkarlatyna, gruźlica i dżuma płucna.

Wojna bakteriologiczna na tym odcinku byłaby jednak bronią obosieczną: doświadczenia ostatnich epidemii, choćby grypy, uczą nas, że choroba ta kpi sobie ze wszystkich granic i rozprzestrzenia się z niesłychaną szybkością po całym kontynencie. Nie inaczej też wyglądałaby ta sprawa w czasie „wojny bakteriologicznej”, przedstawiając niewiele mniejsze niebezpieczeństwo dla atakującego jak dla zaatakowanego.

Jest jeszcze jeden moment, stawiający skuteczność podobnej wojny pod znakiem zapytania: O ile atak gazowy daje natychmiastowy, piorunujący efekt, — to zakażenie powietrza bakteriami chorobotwórczymi wywołać może zgubne skutki dopiero po kilku czy kilkunastu dniach, po upływie okresu wylegania. Efekt „taktu” zatem, o który głównie idzie, byłby chybiony.

Przypuśćmy jednak, że mimo wszystko Niemcy podejmą wojnę bakteriologiczną. Jakby to wyglądało w praktyce? Zarazki chorobotwórcze przenoszone być mogą na drodze suchej, z pyłem, np. podczas zamywania. Miljardy takich zarazków (przedewszystkiem gruźlicy) krąży w powietrzu, nie wyrządzając większej szkody, zatrzymywane z reguły przez błony śluzowe dróg oddechowych.

Ten zatem sposób wojny bakteriologicznej — drogą suchą — nie przedstawia żadnej większej wartości.

Pozostaje jeden jedyny sposób: rozpylanie delikatnej niedostrzegalnej mgły (pary wodnej), nasyconej zarazkami. Najprostszym, popularnym przykładem tego rodzaju infekcji jest przenoszenie zarazków np. grypy czy dyfterji drogą kaszlu, kichania czy plucia lub popro-

stnu oddechu. Powietrze w pokoju chorego przesycone jest niewidzialną mgłą niosącą w sobie miljardy zarazków.

Zarazki te opadają ku ziemi stosunkowo bardzo pomalą. Doświadczenia wykazały, że kropelka takiej mgły, o średnicy 1 „microna” (jedna tysięczna milimetra) opada w ciągu dziesięciu minut zaledwie o dziesięć milimetrów. Dużą rolę gra tu również temperatura powietrza: przy nagłym oziębieniu mikroby opadają znacznie szybciej. Naogół zaś chłodne powietrze sprzyja szysmemu rozprzestrzenianiu się epidemii. Tem się też tłumaczy, że epidemia grypy szerzy się najsilniej jesienią.

Wreszcie liczyć się trzeba i ze skutkiem chemicznym powietrza w miejscach narażonych na ataki bakteriologiczne. Niebezpieczeństwo zakażenia jest największe w miejscach, gdzie przebywa większa ilość ludzi skupionych na małej przestrzeni, a powietrze nasycone jest wilgocią.

Wszystkie te wyżej wymienione okoliczności dowodzą, że „wojna bakteriologiczna” nie rości atakującemu zbyt wielkich widoków powodzenia, — a dla atakowanego nie przedstawia większego niebezpieczeństwa, niż wszelkie epidemie, wybuchające zazwyczaj już podczas wojny lub wkrótce po niej.

Skoro zaś uprzytomnimy sobie, że np. dżuma płucna, skoro raz wybuchnie ogarnia jak pożar całe kraje, niosąc zagładę tysiącom tysięcy po jednej i po drugiej stronie frontu, — trudno przypuścić, by Niemcy zechcieli naprawdę stosować „wojnę bakteriologiczną”, będącą zaprzeczeniem wszelkich przykazai moralnych, Boskich i ludzkich. (r.)

Przygody reporterów radiowych

Reportaż radiowy jest może najciekawszym działem radia, a z pewnością wymaga od wygłaszającego najwięcej przytomności umysłu, orientacji, wymowy i całego szeregu zalet fizycznych. Normalny prelegent radiowy siedzi w zacisznym studio i ma przed sobą starannie przepisany skrypt. Reporter radiowy ze swoim aparatem musi nieraz gonąć za przedmiotem reportażu, pędzić na złamanie karku za spadającym balonem, śledzić przebieg meczu sportowego, przepychać się przez tłum, a przede wszystkim nie tracić głowy na karku ani języka w gębę. Zawód reportera radiowego jest więc odpowiedzialny, niebezpieczny, ale dzięki temu pożyteczny. Pod wieloma względami reporter radiowy przypomina swego kolegę, reportera kinowego, tego, który dostarcza zdjęć dla tygodnia aktualności w kinach i musi wspinać się na góry, odbywać karkołomne wycieczki aeroplanem lub zaglądać w paszczę wulkanom.

Reportaż radiowy odgrywa specjalnie wielką rolę w radio niemieckim. Radio niemieckie jest ruchome i ruchliwe. Postawiło sobie za zadanie chwycić życie na gorąco, notować najważniejsze wypadki, docierać do każdego zakątka kraju. Reporterzy radiowi w Niemczech są bardzo popularni a odbijają się to również w prasie radiowej. Jeden z najwięk-

szych organów tej prasy podaje w ostatnim numerze wywiady z asami reportażu radiowego na temat najciekawszych ich przeżyć.

Wszyscy reporterzy stwierdzają, że mają zawsze tremę przed audycją, bo nie da się nigdy przewidzieć jej przebiegu ani wyniku i należy zawsze liczyć się z niespodziankami.

Tak więc jeden z najpopularniejszych reporterów radiowych, Landgraf, — postanowił urządzić wywiad ze 100 letnią, starszą osobą prostą i niewykształconą. Jadąc do niej zastanawiał się jakie jej zadać pytania i obawiał się, że starszka gotowa przestraszyć się, wskutek czego cały wywiad mógłby wpaść w łeb. Tymczasem rzecz miała się wręcz przeciwnie: starszka zrazu myślała, że ma do czynienia z telefonem, ale gdy jej wytłumaczono, o co chodzi i jak się ma zachowywać, poczęła mówić tak żywo i z takim temperamentem, że przekroczyła przeznaczone na wywiad trzy minuty.

Chłopka jak widzieliśmy, nie boi się radia tembardziej więc należałoby przypuszczać, że aktorka będzie się czuła przed mikrofonem jak w swoim żywiole. I znów przypuszczenie to okazało się nie trafne. Reporter radiowy Wilhelm Ehlers zrobił wywiad z artystką dramatyczną Hertą Saal. Ale arty-

stka miała taką tremę, że na zadawane pytania odpowiadała monosylabami: „tak” lub „nie”. Z wywiadem mogło być źle, ale w ostatniej chwili reporter kazał przynieść kawy i dzięki temu trema minęła i rozwinęła się żywa i zajmująca rozmowa.

Ten sam dziennikarz radiowy Ehlers miał wraz z kolegą opisać przyłot Zepelina na pole lotnicze Tempelhof w Berlinie. Ale dzień był widać nawskróś pechowy. Przelatujący aeroplan uszkodził aparaturę a robotnik przeciął kabel. Ehlers miał na tyle przytomności umysłu, że zdołał jeszcze zawiadomić słuchaczy o niezawinionym niepowodzeniu.

Hugo Burero jest reporterem sportowym radia. Sam jest wybitnym sportowcem, przede wszystkim zaś szermierzem. Niedawno musiał pędzić autem w ślad za balonem „Hermann Göring”, który pierwszy raz wznosił się w powietrze. Auto z aparaturą odbyło 1½ godzinny karkołomny wycieczkę po polach i lasach gdzie nie trudno było o nieszczęśliwy wypadek a nawet i katastrofę. Reportaż sportowy wogóle by wają niebezpieczne. W czasie reportażu z wyścigów samochodów i motocykli z Brandenburga, motocykl o mało co nie najechał na mikrofon reportera, który jakimś cudem zdołał się w ostatniej chwili usunąć.

Wszyscy niemal reporterzy radiowi są zdania, że wywiady z ludźmi prostymi wypadają znacznie lepiej i spra-

wiają mniej trudności niż rozmowy z jednostkami wykształconymi. Ludzie prości mówią prosto, naturalnie i nie zastanawiają się nad słowami. Ludzie wykształceni, a tembardziej znani i głośni, zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa sytuacji, mają wskutek tego tremę, pragną przedstawić się w jaknajlepszem świetle i dlatego zwykli zastanawiać się nad każdym wypowiedzianym słowem, bywają nerwowi, nienaturalni i sztuczni.

Ale i prosty człowiek nieważa momenty wątpliwości, i zawstydenia o ile ma możność zdania sobie sprawy, jaki użytek zrobiło się z rozmowy z nim.

Z okazji 700-lecia miasteczka Prenzlau odbył reporter Landgraf wywiad z parą starych chłopów. Starszankowie myśleli zrazu, że mają do czynienia z agentem, chcącym sprzedać aparat, i odpowiedzieli niechętnie, że mają już w domu gramofon. Ale gdy im wytłumaczono, o co chodzi, przypuszczali, że rzecz cała potrwa dłużej, tak długo jak proceder fotografowania u małomiasteczkowego fotografa. Byli więc zdziwieni i nie chcieli wierzyć, gdy po paru minutach wszystko się skończyło.

Reporter pragnąc ich przekonać, produkował im to, co powiedzieli, a wtedy starszka zlapała się za głowę i poczęła jęczeć „To ja powiedziałam!” i była mocno niezadowolona i zażenowana. (i.)

Trzy arcydzieła

Tematem, o którym mowa, jest podanie germańskie o Nibelungach; trzema arcydziełami, należącymi do trzech różnych dziedzin sztuki — epos średniowieczny „Niedola Nibelungów” (zwany czasem „Pieśnią o Nibelungach”); tetralogia operowa Ryszarda Wagnera „Pierścień Nibelunga”; wreszcie film Fritza Langa „Nibelungi”, największe bezsprzecznie arcydzieło kinematografii w dziedzinie filmu dekoracyjno-kostiumowego i historycznego.

Wielki poemat epicki „Niedola Nibelungów”, pomijając jego wielkie walory artystyczne, świadczące o olbrzymim talencie narracyjnym i plastycznym jego twórcy, — posiada ponadto ogromne znaczenie kulturalno-historyczne. Z jednej bowiem strony uniemożliwia w sztuce światowej istotę ducha germańskiego tak, jak „Mahabharata” uniemożliwia ducha rasy indyjskiej, „Szach - Namah” — ducha narodu perskiego, a „Pan Tadeusz” — polskiego.

Podstawowym elementem ducha germańskiego — według eposu o Nibelungach — jest „deutsche Freude” — niemiecka wierność „wierność niezłomnie dochowywana władcy, przyjacielowi czy danemu przez siebie słowu. Obok „deutsche Freude” jednak występuje w poemacie typowa dla dzieł wszystkich szczepów germańskich niezgoda wewnętrzna — narodowa rozbieżność, skłonność, zdolność i pochopność do bratobójczych walk, rzadko spotykana w historii innych ludów, przynależnych do cywilizacji europejskiej.

Z drugiej strony jest epopeja germańska najwyższemu, artystycznemu utrwaleniu zewnętrznej strony średniowiecznego chrześcijaństwa, tak jak „Boska Komedia” Dantego jest uniemożliwieniem jego strony wewnętrznej, duchowej. Jako dzieło sztuki, stworzyła „Niedola Nibelungów” szereg wspaniałych kreacji ludzkich, — pod względem artystycznym jednak na czołowe miejsce wybijają się z pośród nich postacie kobiece, postacie Brunhildy i Krymhildy, które w tradycji kultury naszej zajęły miejsce obok Heleny Penelopy, Antygony, Beatrycy i Kordelji i jak tamte wszystkie — stały się symbolami pewnych niezmiennych, nieprzemijających typów wiecznej kobiecości.

Szczególnie kreacja Krymhildy jest głęboka, a subtelna i zarazem niewątpliwa — prawdą o tajemnicach duszy kobiecej. Pełna uroku, słodka, cicha, słaba istota zna swą wartość i nikomu nie odda swego serca i ręki, póki nie znajdzie mężczyzny, godnego siebie. Ale gdy taki się znajdzie, oddaje mu siebie całą bez zastrzeżeń z ufnością najwyższą i miłością, szczęśliwa i zupełnie zatracająca swoje „ja” w uwielbieniu dla silnego, wspaniałego, bardzo męskiego i bardzo subtelnego zarazem, bohaterskiego mężczyzny.

A gdy mężczyzna ten ginie i zostawia ją samą — i jakby się zdawać mogło — słabą i bezbronną, — słaba ta, słodka istota przetwarza się pod wpływem żądzy zemsty w demona nienawiści, zdumiewającego grozą i potęgą woli i olbrzymiej siły w walce przeciwko tym, co wydarli jej szczęście. Słaba kobieta w żądzy zemsty i nienawiści spokojnie posuwa się aż do takich rzeczy, przed którymi w przerażeniu cofają się najbardziej męscy mężczyźni.

Najnowsze badania niemal za pewnik już przyjęły, że autorem „Niedoli Nibelungów” był rycerz Kurenberger z

Górnej Austrii (połowa XII w.). Fakt, że znamy imię twórcy chrześcijańsko-germańskiej epopei średniowiecznej, jest jeszcze jednym triumfem, odniesionym przez tych, którzy wierzą, że wielka sztuka, w szczególności epika, — choć z natchnień pokoleń całych i tysięcy poczęta, — jako dzieło sztuki, jest zawsze tworem świadomym wybitnej indywidualności, a nie mniej lub więcej mechanicznym zlepkiem luźnych, beziemiennie tworzonych pieśni ludowych.

Podanie o Nibelungach w epopei średniowiecznej występuje w atmosferze kultury i ducha chrześcijańskiego. Ryszard Wagner natomiast sięgnął do prastarych pieśni Eddy skandynawsko-islandzkiej i odtworzył dzieje Nibelungów w atmosferze staro-germańskiej religii z jej heroiczną, bardzo męską, ale zarazem beznadziejnie ponurą mitologią, odpowiadającą — Walhalli, Wotanowi i innym bogom, potężnym i bohaterom, ale bezsilnym wobec ciążącego nad nimi przekleństwa Przeznaczenia.

W czterech operach, a raczej dramatach muzycznych, składających się na „Pierścień Nibelunga” („Złoto Renu”, „Walkiria”, „Zygfyd” i „Zmierzch bogów”). Wagner uniemożliwił w najwspanialszej formie poetyckiej i muzycznej prawdę o duszy germańskiej, — o tej duszy, której nie tknęło jeszcze światło przesiąkniętej humanitaryzmem i znacznie większą radością życia — nauki i kultury chrześcijańskiej.

Pradzieje narodu niemieckiego i jego ducha obleczone zostały w tym cyklu w kształt nieprzemijający, — niesłusznym jednak jest jednostronne twierdzenie o pogaństwie, „wulkanizmie” i „wotaniźmie” duszy, sztuki i samej niemieckości Wagnera. W „Parsifalu” bowiem pokazał, jak głęboko odczuwa i rozumie ducha chrześcijaństwa i mistycyzmu katolickiego, — a jeśli w „Pierścieniu Nibelunga” uniemożliwił germańskie średniowiecze przedchrześcijańskie, to w „Tannhäuserze” znów dał nieśmiertelną wizję średniowiecznego chrześcijańskiego najsilniej uderzającego w hymnie pokutników (odtworzenia jednego z podstawowych elementów średniowiecznego ducha religijnego), w pieśni do gwiazdy (średniowieczne ubóstwienie kobiety przez sztukę) i najsilniej w momencie końcowym, w afirmacji cudu, — afirmacji, nadającej melodii hymnu pokutnego brzmienie radosne, triumfalne chwalebnej pieśni, wielbiącej bezpośredniego sprawcę cudu — Stwórcę i opiewającej pośredniego grzesznika, nawróconego i oczyszczonego przez miłość. Czyż to nie jest kwintesencja ducha średniowiecza?!

W „Pierścieniu Nibelungów” postacie Guntera, Krymhildy (tu Gudduny), czy Hagena Tronje pozbawione są wszelkiego niemal uroku czy wielkości, którymi — mimo niewątpliwych ich zbrodni czy słabości — otacza ich autor średniowiecznej epopei. W cyklu dramatycznym Wagnera zatracają się obiektywizm epicki w odtwarzaniu postaci — powraca on natomiast we wspaniałym filmie Fritza Langa.

Przyzwyczajaliśmy się uważać kinematografię za rozrywkę, niegodną miana wielkiej sztuki, albo przeciwnie za jakąś zupełnie nową sztukę, nie mającą nic wspólnego z innymi dziedzinami sztuki, służącą jedynie swoim celom i dla osiągnięcia tych celów posługującą

się środkami i tematyką, zupełnie innymi, niż literatura, teatr, malarstwo i t.d. Film „Nibelungi” i jednej stronie, i drugiej udowodnił, że niezawsze i niekoniecznie mają rację: jest on bowiem prawdziwym arcydziełem sztuki, a przy tym arcydziełem, którego celem, sensem i wartością najwyższą jest to, że w formie wspaniałej kompozycji filmowej i efektów wzrokowych dał idealne odtworzenie kompozycji literackiej i efektów poetyckich, słownych.

Co przede wszystkim uderza w filmie „Nibelungi”, to niesłychane wczucie się i zrozumienie poematu średniowiecznego przez reżysera filmowego. I jeszcze jedno: wszechstronna i głęboka, subtelna inteligencja tego reżysera. Inteligencja i talent plastyczny, — to podstawowe cechy konstrukcji twórczej Fritza Langa, toteż czy tworzy film utopijno-społeczny, dając fantazję przyszłości („Metropolis”) czy fantastyczno-naukowy („Kobieta na księżycu”) czy sensacyjny („Szpieg”) czy kryminalny („Morderca”) — zawsze tworzy arcydzieło, uderzające przede wszystkim plastyką i wnikliwym wczuciem się w odpowiednią atmosferę, świadcząc o olbrzymiej inteligencji. Toteż i w „Nibelungach”, wczuwa się Lang nadzwyczajnie w ducha poematu, a pozorne błędy czy sprzeczności filmu będą jeszcze jednym triumfem reżysera, jeśli się tylko zrozumie dobrze ducha epopei.

Średnio wykształconego historycznie widza uderzy mianowicie następująca rzekoma sprzeczność: punktem kulminacyjnym epopei, a więc i filmu jest bohaterska, tragiczna walka Burgundów z Hunnami Attyli. Attyla żył w wieku V-tym po Chrystusie, i walki jego z plemionami germańskimi nad Renem przy padają na lata 450 — 55. Skądże więc w filmie wspaniałe zamki i kościoły, zbroje, stroje i obyczaje, — odpowiednie dla czasów Ryszarda Lwie Serce i wypraw krzyżowych, a nie dla epoki wędrowców ludu? Skąd te na każdym kroku spotykane szczegóły systemu feudalnego? Wszak to rażące anachronizmy!

Otóż anachronizmy te są zupełnie świadome. Ludzie średniowiecza nie posiadali zmysłu historycznego w tym stopniu, co my. Jeżeli nawet już w epoce Odrodzenia malowano nieraz ewangelicznego Syna Marnotrawnego czy nie które postacie w scenie uczyły w Kanie Galilejskiej — w krótkim kaftanie, w kolorowych pończochach i ze szpadą przy boku — to nie zdziwi nas wcale, że pisarz średniowieczny w swojej epopei o ludziach V w. po Chr. przedstawił stosunki i malował obyczaje, jakie panowały w jego epoce.

Anachronizmy filmu „Nibelungi” są genialnym plastycznym odtworzeniem anachronizmów epopei — w „Niedoli Nibelungów” bowiem panuje duch średniowiecznego chrześcijaństwa z epoki wypraw krzyżowych, Szaufów i Welfów — i kombinowania tej atmosfery z faktami i ludźmi z czasów wędrowców ludu jest największą, najbardziej charakterystyczną osobliwością poematu. Osobliwość zaś tę Lang w całości przeniósł do swego filmu.

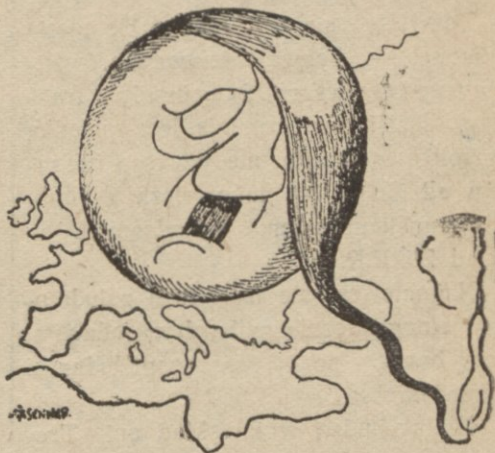
Film roi się od wspaniałych majstersztyków sztuki ruchomo-plastycznej, — nie miejsce tu na szczegółowe ich wyliczanie — warto tylko przypomnieć niezrównane operowanie kontrastami: moc, młodość i świeżość duchowa i fizyczna Zygfyda, a słabość Guntera; Zygfyd a Kagen, Krymhilda a Brunhilda — sugestywne operowanie kontra-

stami kolorów białego i czarnego; dzika tłuszcza Hunnów i jedna potężna indywidualność, ponad tę tłuszcę wybijająca się — Attyla; wreszcie kontrast między beczelną, zbiorową potęgą wojenną Hunnów, a indywidualnym męstwem Burgundów i t. d. i t. d. Film „Nibelungi” jest najlepszą elemonstracją tego, czym kino być powinno i czym być może, gdy zechce!

Na zakończenie warto zwrócić uwagę na jeden znamieny szczegół. Czy w handlu księgarskim, czy w napoważniejszych bibliotekach, polski tekst „Niedoli Nibelungów” w przekładzie Ludomila Germana znaleźć można jedynie w taniem, b. popularnym wydaniu W. Zerkandla, firmy księgarskiej i wydawniczej w... Złoczowie! Przy każdym tomiku, przez tę firmę wydanym, znajduje się prospekt książek, tam wydawanych. Człowieka ogarnia zdumienie — w popularnym, groszowym niemałym wydaniu wychodzą w maleńkim miasteczku arcydzieła literatury światowej, których napróżnobyśmy szukali w wydaniach innych, poważniejszych, kosztowniejszych! Mamy tam całego niemal Ibsena, Strindberga, d'Annunzia, „Don Carlosa” i „Wallensteina” Schillera, „Drugą część Fausta” — wymieniam tylko rzeczy, niespotykane w innych wydaniach, a jakaż tam moc autorów polskich, niemieckich, francuskich i zaskakująco dużo pisarzy starożytnych.

Czem wytłumaczyć to zjawisko? Chyba tem, że w przedwojennym społeczeństwie polskim — ściślej mówiąc galicyjskim (firma istnieje coś od 60 lat) widocznie potrzeby stawy duchowej najwyższej klasy i wogóle kultura humanistyczna stały znacznie wyżej, niż dziś. Innego wytłumaczenia niema, choć wytłumaczenie to, niestety, nie przynosi naszej epoce zaszczytu. t.p.

Z karykatury zagranicznej



LA MÈCHE

Karykatura Hitlera.

Ostrze dowcipu tkwi w podpisie, słowo „Mèche” oznacza bowiem zarówno „kosmyk” jak i „łont”.

Japonia wprowadza alfabet łaciński

Za przykładem Turcji, gdzie wprowadzenie od pewnego czasu alfabetu łacińskiego dało bardzo korzystne rezultaty, również Japonia postanowiła zreformować w tym kierunku pismo, tembardziej, że w piśmie japońskim dotychczasowo używano kilkanaście tysięcy znaków. Wprowadzenie więc nowego alfabetu, opartego na zasadzie alfabetu łacińskiego oszczędzi japończykom wiele czasu i kosztów. Wprowadzenie alfabetu nastąpi wkrótce w szkołach tokijskich i stopniowo będzie przeprowadzane, tak, aby w niedługim czasie mogło się zapoznać ze zmianami pisma również społeczeństwo japońskie, przede wszystkim jednak przez styczność z młodzieżą szkolną. Ministerstwo oświaty w Japonii jest przekonane, że społeczeństwo dzięki wpływowi szkoły prędzej zrozumie doniosłość reformy.

Armenia, republika sowiecka

Historia współczesnej Armenii nie przynosi z pewnością zbytniego zaszczytu kulturalnej i oświeconej Europie 19. i 20. wieku.

Nie tak to dawno temu, w roku 1920 prezydent Wilson wykreślał na mapie świata granice wolnej, niepodległej Armenii, jednym pociągnięciem ołówka wcielając do niej zarówno gubernie rosyjskie, z Karsem włącznie, jak i tureckie wilajety Vaa, Erzerum i Trebizondę.

Granice te odpowiadały mniej więcej postulatowi samych Ormjan, jęczących pod podwójnym, ciężkim arzem Rosji i Turcji.

Zwłaszcza ta ostatnia nie wahała się przed zastosowaniem najokrutniejszych środków, zmierzających do zupełnego wytępienia Ormjan. Pierwsze masowe masakry, w roku 1895, zjednały Abdul - Hamidowi przydomek „krwawego sultana”, wywołując oburzenie całego cywilizowanego. Skończyło się jednak na szeregu artykułów w pismach, na uchwaleniu kilku rezolucji potępiających te zbrodnie. Abdul - Hamid, czując za sobą poparcie Wilhelma II., nie wiele sobie robił z tych protestów.

Lata wielkiej wojny stały się krwawym dramatem Ormjan. Masowe deportacje i okrutna rzeź w wilajecie Van zdziesiątkowały poprostu ludność, bezbronną, pozbawioną wszelkiej opieki z zewnątrz, wydaną na pastwę Młodoturków.

I dziś, w prastarej kolebce Armenii, w dawnych wilajetach północno - wschodniej Turcji azjatyckiej, gdzie przed wojną żyło blisko dwa miliony Ormjan, — doliczyć się ich można zaledwie kilkadziesiąt tysięcy.

A reszta? zginęła od bagnatów żołdaków tureckich lub od noży Kurdów, — albo padła z wycieńczenia i głodu w pustyniach Mezopotamji..

Rozwijały się też wszystkie plany Wilsona, — bezwartościowymi świątkami zostały wszystkie uchwały i traktaty. Dzisiejsza Armenia jest małą republiką sowiecką, nie większą obszarem od Belgji, — najniższą z republik transkaukaskich, wchodzących w skład Z.S.R.R.

Najmniejszą, ale najgęściej zaludnioną i etnograficznie najbardziej jednolitą, liczy bowiem ponad 85 procent ludności ormiańskiej.

Nie wchodzi w jej skład ani Trebizonda, ani Kars i Erzerum, ani Bitlis i Van; oderwały duże szmaty rdzennie ormiańskiej ziemi sąsiednie republiki Georgja i Azerbajdżan. I święta góra Ararat pozostała poza granicami swej ojczyzny.

Została Armenii przynajmniej jej dawna stolica Eriwan, dziś miasto o przeszło 100-tysięcznej ludności. Został starożytny klasztor — forteca Eczmiadzin, gdzie pozostała garstka katolickich zakonników topnieje niemal z każdym rokiem. Rząd sowiecki bowiem toleruje istnienie tego klasztoru, jednak pod warunkiem, że nie wolno przyjmować do niego żadnych nowicjuszy. I zostało przepiękne jezioro Gokcza, którego błękitne wody były świadkami wielkości i upadku nieszczęśliwego narodu.

Ludność dzisiejsza składa się w przeważającej większości z rolników. Jest to ciekawy rys charakteru Ormjanina, który na emigracji wrzuca się do kupiectwa i handlu, a w swej ojczyźnie oddaje się z zamiłowaniem rolnictwu.

Rząd sowiecki prowadzi w Armenii

politykę bardzo ostrożną i rozsądną. Chociaż teoretycznie zniesiona została własność prywatna, to jednak blisko 60 proc. ziemi znajduje się tam dotąd w rękach prywatnych właścicieli, którzy prowadzą gospodarkę zupełnie indywidualną. Resztę eksploatują kolchozy — i w drobnej tylko mierze sowchozy, powstające niemal wyłącznie na terenach dawnych wielkich właścicieli ziemskich, których dobra uległy konfiskacie.

Polityka ekonomiczna Sowietów w Armenii idzie w kierunku uprzemysłowienia tego kraju i pewnej specjalizacji w hodowli.

Tak więc w okolicy Eriwanu obrócono 20 tysięcy hektarów ziemi pod uprawę bawełny, jedenaście tysięcy pod hodowlę winnic i szlachetnych owoców przede wszystkim brzoskwin i moreli.

Założono fabrykę sztucznego kauczuku i cementu, podjęto na wielką skalę eksploatację miedzi w starych kopalniach w Allawerdi; w planie jest wybudowanie dwóch wielkich fabryk nawozów sztucznych.

Najdonioślejszym dla dalszego rozwoju przemysłowego kraju będzie utworzenie wielkich zakładów elektrycznych, przy wyzyskaniu siły wodnej. W

tym celu buduje się wielkie tamy i zbiorniki wody, reguluje się rzeki, zakłada cały system kanałów.

Taki jest w przybliżeniu obraz dzisiejszej Armenii. Nie podobny on jest ani w przybliżeniu do tego, jaki przed 15 niespełna laty kreślił prez. Wilson.

Zredukowana do małych rozmiarów, przełudniona Armenia posiada względnie zaledwie autonomię, w ramach sowieckiej Republiki Rad.

Ale mimo wszystko może żyć, może do pewnego stopnia pielęgnować swe tradycje narodowe, — w warunkach bądźco bądź lepszych, niż po drugiej stronie kordonu, gdzie dotychczas nie wygasły jeszcze okropne wspomnienia krwawych rzezi tureckich. (k. r.)

Teatr akustyczny

Wygłaszane przez mikrofony wszystkich większych rozgłośni słowo: „radiofonizacja”, nie zwraca już dzisiaj należytej baczniej uwagi. Poprostu przyzwyczailiśmy się już do tego, że pewne teksty literackie przystosowuje się do wygłaszania ich przed tak popularnym dziś aparatem.

Jeżeli jednak zmienia się pewne wartości treściowe, czy stronę formalną jakiegoś utworu, — to tem samem ów utwór przekracza granice swego dotychczasowego gatunku, — tak, jak transkrypcja sceniczna powieści przestaje być powieścią, lub muzyka baletowa, przetransponowana na wartości plastyczne, nie jest już muzyką czystą ale stosowaną. Przy zamianie jednego gatunku na drugi odgrywać musi rolę materiał i kształtowanie.

Jakże przedstawia się kwestja kształtowania i materiału przy opracowywaniu słuchowiska?

Jeżeli przyjmujemy, że słuchowisko jest gatunkowo pokrewne dziełu sztuki scenicznej, — to uderza odrazu w zestawieniu z teatrem poziom ubóstwa środków ekspresji słuchowiska. Pozostaje tylko zasadniczy materiał: aktor, reżyser i tekst, odpadają natomiast wszystkie zewnętrzne, kinetyczne, dekoracyjne i mimiczne czynniki; odpada wszystko, co może wywrzeć jakiś wpływ na kształtowanie optycznej wizji. Aktorowi zostaje jako jedyny środek wyrażania — głos, — reżyserowi zaś, możliwość poparcia gry aktora przez cały system szmerów i dźwięków, które są nie do pomyślenia na scenie, aktor, pozbawiony możliwości grać wzrokowo, zostaje wynagrodzony poszerzeniem skali swej gry działającej akustycznie. Najsubtelniejsze vibracje i modulacje głosu od najcichszego szepotu — niedosłyszalnego na widowni — do krzyku, — dowolne oddalenie i zbliżanie głosu, — oto środki, jakimi rozporządza aktor słuchowiskowy.

Zestrojenie, zróżniczkowanie tonacji poszczególnych głosów i dźwięków — to praca reżysera i radiofonizatora.

W radiofonizacji więc będzie chodziło przede wszystkim o wykorzystanie najdrobniejszych chociażby elementów dźwiękowych, o wyznaczenie im właściwego miejsca w harmonicznie zbudowanej całości, w której każdy element musi mieć określone zadanie. Z drugiej strony — chcąc dać różne od optycznego przeżycie estetyczne i inne nawet, niż to, jakie mamy przy percepcji dzieła literackiego, — wypadnie wyeliminować wszystko to, co by dawało pozór akustycznej namiastki, użytej w miejsce innego, optycznego, czy też kinetycznego czynnika.

Wynikałoby z tego, że słuchowisko nie jest właściwie niczem innem, tylko jakimś rodzajem literackim w głośnym czytaniu. Potęgę to wrażenie fakt odczytywania scenariusza na równi z tekstem właściwym. Umieszczenie aktora w przestrzeni, cały scenariusz, który narzuca się widzowi w teatrze, jako już gotowa i opracowana plastycznie koncepcja dekoracyjna i część kinetyczna gry aktora, pozostają całko-

wicie do uzupełnienia przez wyobraźnię słuchacza.

Poprostu, — literatura w akustycznej percepcji.

Tak jednak nie jest.

Jeżeli zgodzimy się, że teatr oł dawna przestał być ekspozyturą samej tylko literatury, że pamiętny „Cyrano de Bergerac” Rostanda, tak niewiele znaczący jako pozycja literacka okazał się przecież wspaniałym **tekstem teatralnym**, jeżeli wreszcie zważymy, że balet, pantomina, faktomontaż i inscenizacje muzyczne — plastyczne (w rodzaju „Niebieskiego Ptaka”) są przecież też gatunkami teatralnymi, mającymi bardzo mało, lub wogóle nic wspólnego z literaturą, to i słuchowisko okaże nam się bardziej zbliżone przez materiał i kształtowanie do dzieła sztuki scenicznej, a nie literackiej.

Współczesny teatr traktujący tekst na równi z kwestją dekoracji i inscenizacji, na równi z aktorem, jako materiał widowiska, nie czuje się wcale związany gatunkiem literackim, który obiera za punkt wyjścia. Dowodnym tego przykładem jest chociażby transkrypcja powieści, przerabianie dramatów na pantominy itp.

Mniej więcej tak samo przedstawia się sprawa ze słuchowiskiem, gdzie przy krawaniu, skracaniu, krótko: przystosowywanie tekstu literackiego weszło w zwyczaj i nikogo nie razi.

W związku z pracą reżysersko-radiofoniczną, ustalili się, — podobnie zresztą, jak w teatrze — pewne konwencjonalizmy. Do nich przede wszystkim należy gong, który zawsze prawie oznacza zmianę miejsca, czy czasu akcji, lub też to, że przybycie nowej osoby przed mikrofonem sygnalizują nam w różny sposób, często bardzo naiwne, osoby, które tam były poprzednio.

Naogół, w środkach wyrazowych, panuje w słuchowisku dość duży chaos, który się tłumaczy tem, że zbyt młody jeszcze gatunek nie stworzył własnej formy, żyjąc z zapożyczeń z literatury, czy z teatru. Racjonalizacja więc słuchowiska, czyli nadanie mu takiej formy, w jakiej nie mogłyby istnieć nigdzie indziej, jak tylko przed mikrofonem, staje się najbliższem zadaniem pracowników w tym rodzaju.

Drogi, wiodąca do osiągnięcia pełnej tej formy wiodąca przez odrębny materiał słuchowiskowy: dźwięk.

W spisie osób, podobnie jak w operze obowiązywałby powinien podział nie tylko na rolę, ale na charakterystyczne, a więc np.: tenor liryczny, tenor bohaterski itp. Ponieważ jednak wyglądałoby to na wywlekane starych konwencjonalizmów, też zresztą zapożyczonych, możnaby przecie znaleźć inne kryteria podziału i podzielić głosy na klasy uzależnione przez mikrofon.

Z chwilą zaś, gdy wkracza jeszcze ilustracja muzyczna i cały system szmerowy — tak jeszcze dziś mało wykorzystany — związek z literaturą, tak pozornie silny — słabnie, zaznacza się natomiast mocniej związek z teatrem.

Stąd — powstaje nowa koncepcja:

teatru akustycznego, teatru, który obok różnicy w ośrodkach wyrazowych wprowadza jeszcze różnicę w oddziaływaniu. Tak bowiem charakter słuchowiskowy tego teatru, dając możność odbiorcy dotwarzania, dorabiania własnej kretyzacji postaci i miejsca akcji, rozwijając druk, który jest bodźcem percepcji w czytaniu, do żywego słowa, w dodatku słowa żywego w najdrobniejszych detalach, wywołuje przeżycie estetyczne różne zupełnie od teatralnego nie tylko jakościowo, ale i środkami i stopniem napięcia.

Inaczej zupełnie w ujęciu akustycznym wyglądają nawet teksty czysto-dialektyczne, pozbawione akcji, czy liryczne. Dialektyka, chociażby podana najwytrawniej — na scenie nuży, to samo liryka. W słuchowiskowym ujęciu — nie.

Charakter żywości i dynamiki musi przeniknąć do tak nawet oddalonych od dzisiejszych utworów, jak niesceniczne dialogi Oscara Wilde’a, czy też estetyczne rozmowy Patra i Gobi-neau.

Innymi słowy: teatr działa zewnętrznie, odśrodkowo, raczej rozpraszająco, — słuchowisko skupia i oddziałuje dośrodkowo.

I, jeżeli nie będzie to wyglądało na paradoks, — największym chyba urokiem słuchowisk poza dźwiękiem, jest brak sztucznej obrazowości, wytworzonej przez upadający już dziś profesjonalizm aktorski w teatrach.

W teatrze zaś akustycznym, wszystko dzięki jego młodości jest jeszcze świeże.

Ale... No tak, pozostaje jeszcze racjonalizacja słuchowiska i znalezienie własnej formy, są to jednak już rzeczy ściśle, możnaby rzec, laboratoryjne, przekraczające ramy tego szkicu, który miał na celu wykazanie różnic i zbliżności pomiędzy dwoma gatunkami sztuki teatralnej: scenicznym i akustycznym. I. K.

Stuletni krokodyl

Koło Salisbury w Południowej Rodezji zastrzelono krokodyla, mierzącego na długość blisko 5 metrów, a w „stanie” zgorą 2 metry. Był to okaz bardzo stary. Zoologowie twierdzą, że musiał niegdyś być dłuższy, gdyż miał uszkodzony ogon. Krokodyl sześć razy w życiu wymienia zęby i ten miał ostatni garnitur. Osadzono więc, że musiał żyć ponad 100 lat. Został wypchany i ma ozdobić muzeum Rodezji w Bulawaye.

Pożar gruntu

Wieś Jatołowo koło Jamboki w Bułgarii zbudowano kilka lat temu po osuszeniu wielkiego bagna i osiedlili się tam uchodźcy z greckiej Macedonii. Obecnie torfiasty grunt zatlił się, wszelkie próby ugaszenia zawiodły, a biedni mieszkańcy, mając pod nogami ziemię rozpaloną i dymiącą, porzucili ostatecznie w popłochu chaty i uciekli.